Rok 1898. Lwów, dnia 14. lutego. Nr. 7.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

JAN KAZIMIERZ ZIELIŃSKI

TETMAR

Opowieść prawdziwa.

W czasach kiedy Cyrcypani, Kicyni, Tolenzani i Redarowie, ogólnie Wilkami zwani, przedzieleni jedynie rzeką Pianą, w sąsiedztwie z sobą mieszkali, miasto Retra, było wśród innych, najgłówniejszem.

Dziewięciu bramami, obwarowanemi zewsząd głębokiem jeziorem, zamykała się Retra, przed obcych najazdem. Jedynie od strony morza, sterczący most, ułatwiał przejście tym, którzy na ołtarzu Radegasta ofiary składać pragnęli, lub też usłyszeć chcieli wyroku od bóztwa. Most ten, z grubych łat zbity, na palach zbudowany, sznurami silnie związany, szedł daleko w morze, wpółkole, schylając się ku falom, co raz to więcej, stopniowo, aż ginął wsród nich zupełnie...

Walki tych plemion, staczane wokoło ciągle, nieustannie, jakoś na chwilę ucichły. Zmęczeni coraz to inną wyprawą, pragnęli odpocząć wojownicy. Wrócili do chat swoich Wilki. Lemiesze i radła, brony i pługi, były teraz w robocie. Orano ziemię, łowiono ryby, naprawiano chaty, narzędzia, ostrzono też miecze i topory, do nowych gotując się wypraw. A wśród tej pracy, wesołe pieśni unosiły się na falach wichru i ginęły w odległych borach szeptem...

Retra, słynna była doborem urodziwych niewiast. Zewsząd ciągnęli tu młodzi Wilkowie, by żony dla siebie wybierać. O wschodzie słońca, otwierała się brama na most wiodąca, ukazywały się olbrzymie, barczyste starców postacie — a za niemi, ich córy. Mężczyzni skórami dzikich zwierząt opasani, kobiety nagie zupełnie. Rzędem ustawiały się dziewoje przy słupach mostu, patrząc wesoło przed siebie — na morze. Za niemi ojcowie: Czekano na młodych.

I nagie zjawiały się łodzie, ze wszystkich stron, jak na wiosnę jaskółki. Okrążając most, potężnem uderzeniem wioseł gnane, pruły fale i zatrzymywały się kołysząc, w półkolu słupów. I coraz to większe, liczniejsze przybywały tych łodzi zastępy, coraz to gęściej roiły się jedne przy drugich, a w każdej stał z wiosłem w ręku i z kuszą u biodra, młody mężczyzna. Wielkiemi, niebieskiemi, pełnemi żądzy oczyma, patrzał na szereg cudnych jak zjawiska dziewic, które jakgdyby żywe karjatydy most zdobiły.

Wszystkie były piękne, urocze, prawie podobne do siebie, jak siostry. Jeden typ — północy: Jasno niebieskie oczy, śmiało, wesoło patrzały, włosy długie, złociste, kaskadą spadając do koła, słoniły śliczne, jak z marmuru wykute kształty, usteczka karminowe, uśmiechały się rozkosznie, figlarnie. Płeć białą tych cudnych kobiet, dotykał gdzieniegdzie blado niebieski refleks wody, w której błękit niebios się kąpał.

Wszystkie — choć nagie — bez wstydu patrzały na łodzie. Który z tych młodych je porwie? Tak bowiem było u Wilków w zwyczaju, że ojciec posagu za córkę żądał i oddawał ją więcej ofiarującemu.

Z tych dziewek najcudniejszą była Hekla, córka Oldamira, jednego z wodzów walecznych. Różniła się od wszystkich, nie tylko rodzajem urody, lecz przedewszystkiem usposobieniem. Gdy bowiem inne z uśmiechem, wyzywające na młodzian rzucały spojrzenia — i okazując swe ciała, kąpiące się w blaskach słońca, bez żadnej zasłony, wesoło przed siebie patrzały — ona jedna, łzawe, marzące miała spojrzenie. O słup wsparta, główkę smutnie na piersi spuściła, słoniąc się burzą czarnych jak heban włosów. Ona jedna płeć miała od innych cokolwiek ciemniejszą, jej tylko oczy czarne były, ogromne i jak zagadki, w prześlicznej rzęs oprawie się świeciły.

Już po raz trzeci ojciec na most ją wodził. Inne wnet chętnych znajdywały nabywców — ojciec Hekli żądał jednak od wszystkich najwięcej. Posag wymagany, był tak olbrzymi, że niejeden Wilk młody, choć oczy mu się iskrzyły na widok tej cudnej dziewoi, zdobyć się nie mógł na taką ofiarę. Z żądanej ceny, ojciec nie spuszczał ani jednego wołu, ani jednej kuszy, ni dzidy, ni pługa — i Hekla trzy razy wracała do domu — weselsza.

Lecz dzisiaj w szeregach walczących o niewiasty, stanął na łodzi Marchrad, syn Kanuta, Cyrcypanów wodza. Lekko kołysany falą, wessał się wzrokiem w prześliczną Heklę, przeciągłem wejrzeniem muskał urocze jej kształty — i oko coraz bardziej mu się krwawiło — a żyły na czole wciąż nabrzmiewały... Słynął ten młody Wilk z męztwa i z siły, lecz również z okrucieństwa. Srogim był dla wrogów, okrutnym nawet dla towarzyszów, którzy rzadko wchodzili mu w drogę. Zarost miał rudy, oczy niebieskie, lecz tak jasne, że prawie zielone były.

— Hej Oldamirze! — zawołał nagle z łodzi — naści za córkę co żądasz: a więc dziesięć wołów, dwanaście dzid, pięć kusz, sto bełtów i czternaście pługów!

Twarz Hekli zbladła. Spojrzała daleko, daleko, na łódź ostatnią, szarą, maleńką, która samotnie, w dali, na falach bujała... I nagle jękła, ręce przed siebie wyciągnęła, i twarz w nich ukryła.

Tam bowiem w ostatniej tej łodzi, siedział młody Tetmar, przez wszystkich wzgardzony — bo biedny, odpychany — bo korzyć się nie chciał przed siłą, poniewierany, — bo szukał światła i prawdy... On nie miał ni chaty, ni pługa, on nie miał ni roli, ni wołu, a kuszy nigdy naciągnąć nie chciał. Toporem kamiennym, z starego dębu sam sobie łódkę wyciosał, i na tej łodzi dnie całe i noce spędzał. Marzył o szczęściu, nie wiedząc wcale co szczęście znaczy; patrzał z zadumą w tarczę księżyca i w gwiazdy na niebie, stroniąc od ludzi, od świata. Rybami się karmił, ryby wciąż łowił i biednym starcom, zgłodniałym, oślepłym, ryby na pożywienie zwoził. Młody był jeszcze. Z bladej, pożółkłej twarzy, ciemnym okolonej zarostem, nos orli wystawał i dwoje czarnych błyszczało oczu. Patrzały one na świat z wyrzutem, z zadumą, ze skargą i z bolem. Latami całemi Tetmar sam jeden, wciąż prawie w łodzi życie swe spędzał. Latami całemi marzył, myśląc o ludziach i nie pojmując ich życia, ich celów i pragnień...

Gdy brama Retry, na most wiodąca, otwierała się przed całym szeregiem dziewic, patrzał na nie ze smutkiem, bo widział w nich zawsze cierpliwe niewolnice, pełne zaparcia się stworzenia, bezduszne prawie istoty. Znosiły swe jarzmo bezwiednie, swobodnie, z uśmiechem na ustach — prócz jednej, z nich wszystkich najpiękniejszej — prócz Hekli... Ona jedna zadumę miała na czole, ona jedna niewolniczy los niewiast widziała, ona jedna pragnęła, by wszystko jakoś inaczej było... ona jedna wstręt czuła do młodych, rubasznych, srogich, okrutnych Wilków i do ich dzikich odwiecznych zwyczajów... Tetmar oddawna ją zauważył... Znosił jej ojcu ryby w jeziorze złowione i patrzał w ciemne, ogromne oczy Hekli z zachwytem. Słowa jednego z nią nie zamienił, a jednak przeczuł w niej — duszę.

Jakże się cieszył, gdy po raz trzeci Hekla wracała do domu, gdy po raz trzeci żaden z Wilków, posagu wymaganego nie ofiarował...

A dziś... ten Marchrad... Jak ona zbladła... Tak, na niego spojrzała... do niego swe ręce wyciągnęła jakgdyby o pomoc wołała...

— Tetmar, ubogi Tetmar, żadnej pomocy udzielić nie może... Porwie cię Marchrad gołąbko w swe szpony... Zabierze cię z sobą, do pługa zaprzęgnie, do pracy, jak bydlę... I będziesz mu nogi myła, i będziesz mu dzieci rodziła, bo on twym panem odtąd się stanie, panem i władcą, do zgonu...

— Więc zgoda! — wyrzekł Oldamir i córkę pociągnął za sobą.

Marchrad szybko do kończyn mostu dopłynął, odebrał z rąk ojca płaczącą Heklę, wciągnął ją do łodzi, uderzył wiosłami w fale i zwolna oddalił się ze swą zdobyczą.

* * *

Z tamtej strony Retry, tuż nad brzegiem jeziora, stała nad wodą chata Marchrada. W głąb szły łany i las daleki a przed nią zarośla i szuwary, co raz rzadsze, w wodzie rosnące.

Noc była jasna. Księżyc srebrzył całą okolicę a chata odbijała się ciemno-żółto, tworząc brudną plamę na tle złotej toni wód.

Tetmar łódź swą w zarośla skierował — i stanął. Wiosła złożył przy sobie, głowę wsparł w obie ręce — i marzył.

— Ot, i dostała się jemu, okrutnikowi — a dlaczego? bo woły ma i rolę i pługi i brony i kusze... bo więcej ma odemnie! W jarzmie odtąd chodzić będzie... jej rączki małe, ziarna trzeć będą... i niewolnicą mu będzie, jak inne, jak wszystkie... Dlaczego? Czy żyć one mają wiecznie w zaprzęgu, dlatego, że słabsze są od nas, piękniejsze, że radość nam dają i rozkosz? Czyż razem z nami nie znoszą umartwień i trudów?

Hekla teraz w jego objęciach... w tych rudych, strasznych... ohydnych, brutalnych ramionach. Śliczne jej rączki, dźwigać będą kamienie — a włosy, te cudne, długie, czarno-niebieskie włosy, łzy ocierać będą... Ona jedna wśród wszystkich niewiast Wilków, czuje że krzywda się jej dzieje, że tak samo nieszczęsna, jak jej matka... jak matka jej matki... jak wszystkie... Czy poto niewiasta tylko stworzona, by temu, który ją posiędzie strawę gotować miała? Ot, niewola — i wszędzie niewola... Silny gniecie słabszego, a kto ma dobytek, ma i znaczenie i mir u ludzi.... A przecie wszyscy na świecie są równi!.. Bo kto silnym dał władzę? Sami ją wzięli... Kto im dał prawo gnieść wszystkich i gnębić?

Zaszeleściało w zaroślach. Mała rybka wyskoczyła z wody a za nią głowa jakiegoś potwora wyłoniła się z toni. Otwarta paszczęka czyhała na rybkę, która w istocie za chwilę do niej wpadła... Potwór paszczękę zamknął, rybę połknął — i znikł pod wodą.

— Ot, silny, jak żre słabszego — zauważył Tetmar.

Nagle wicher się zerwał, potrącił silnie o łódź, skręcił nią i wcisnął w szuwary.

Lecz Tetmar spokojnie położył się w łodzi jak długi i patrzał w księżyc...

— A no i co? — mruknął.

Małe, sine obłoki, gnane wichrem, skupiały się coraz trwożliwiej na niebie, pędziły w prawo i w lewo, to zasłaniając to odkrywając bladą, ogromną tarczę księżyca. Jezioro grało tysiącem odmian zwiędłych barw. Szuwary otaczające łódź, szemrały i jęczały pod wpływem wichru, a ogromnemi kiściami, potrząsając nad głową Tetmara, zdawały się bić mu pokłony.

— Wyrodkiem wszyscy mnie zwą — wyrodkiem dlatego, że krwi widoku ścierpieć nie mogę, że nigdy w walkach udziału nie biorę... że nad jeńcami pastwić się nie umiem, a wszystkich, wszystkich, nawet niewiasty, za równych sobie uważam! Wyrodkiem i tchórzem mnie zowią! Tchórzem! Czym tchórzem?... W gaju świętym, leżąc pod dębem, patrzałem raz w niebo... Nad głową ujrzałem węża, zwolna się zsuwał i czołgał do posągu Dziewanny, by porwać ofiarne owoce. Czy wówczas nie rzuciłem się śmiało, odważnie na tego potwora? Nie chwyciłem go za łeb i z otwartej paszczęki jadowitego języka nie wyrwałem? A ludzie, to niby straszniejsi od węży? Czym tchórzem? Krew ludzka oczy mi łzawi, ich krzywda piersi mi rani... Gdzie prawda? Gdzie światło? Czy u nich, czy we mnie? Do kogo przemówić? Czy można? A chciałbym przemówić do kogoś, któryby mnie pojął... Śliczna noc, jasna... Dlaczego w nocy najbardziej serce mi bije i tętni w skroniach i czaszkę rozsadza? Chciałbym chwycić coś w objęcia i przycisnąć, chciałbym widzieć kraje, których nie znam i ludzi, których nie widziałem... Może są lepsi od tych, których znam... Trudno z tymi żyć, którzy tu są... bo milczenie jest dla mnie ciężkiem — a jakże mam do nich mówić? Oni chcą bym się przed nimi korzył jak pies... Każdy myśli tylko o sobie — i niema wśród nich

ani jednego, któryby myślał o wszystkich... Oni owoce i woły i jeńców na ofiarę noszą — a nie rozumią, że potrzeba myśleć o innych, o tych, którzy dobytku nie mają... Dlaczego oni ze mną się nie dzielą... ja przecie głodnym starcom, kalekom wciąż ryby znoszę... A oni? Każdy o sobie mówi: ja! Co to jest — ja? Dlaczego ja jeden czuję w krwi mojej i w żyłach, każdą krzywdę, którą komuś zrobią? Dlaczego ja jeden o sobie nigdy nie myślę?

Wicher znowu wyć poczynał. Jęki jakieś dolatywały na falach wiatru z chaty Marchradowej.

— Ot, biedna... mruczał dalej Tetmar. Już w niewoli... zamęcza ją teraz okrutnie, bo w piersi ból srogi czuję... On dla niej mężem... A juści!... bo ma dobytek... woły i dzidy i łany i pługi — i chatę ma i sieci... Ot ma i Heklę — a ja tylko — tę łódź!...

Wicher tak gwałtownie szuwarami miotał, że one gdyby ludziska, piszczeć poczęły i kwilić. Kiście zlewały się i zbijały razem, w jedną, ciemno-różową masę, tworząc różnorodne, fantastyczne postacie, które zdawały się wpadać do łodzi i hasać po kościach Tetmara.

On jednak spokojnie, od czasu do czasu, postać takową nogą odtrącał i mówił:

— A kysz — psia maro!

Lecz one spokoju mu nie dawały... Tam w rogu łodzi, siedziały przykucnięte Koltki, małe Kobalisy... szaremi ślepiami drwiąco patrzyły na niego... Na nogach usiadły mu dwa Markopety, o trójgraniastych głowach i zielonej sierści. Baysztucy z kociemi główkami przysiedli mu nawet na piersi i gnietli go, gnietli straszliwie...

Otrząsł się wreszcie z nich Tetmar. Z głośnym chichotem wpadły zjawiska do wody. Szuwary znów biły pokłony a łódź gwałtownie się kołysała.

I ujrzał nagle Tetmar, Nocenę, boginię księżyca, obłokiem owianą. Z nieba zleciała i lekko po wodzie pomknęła. Z wichrem przybyły i inne bogine: Więc czysta Dziewanna, z pól z lasów wybiegła, Ragasnę trzymając w objęciach. Za niemi Siwa, naga zupełnie, z rozpuszczonemi włosami i wieńcem lilij na głowie — a dalej Zywena, Łazdona, Łada, Bezlea i urocza Budyntala.

Zjawił się także Pizio, bóg godów weselnych, za nim Polelum i Lelum, na fletach grający, w podskokach — a z głębi wód, z toni, wszyscy piekieł bogowie — czarni a piękni. Więc Pikał z Niją, z Wylą i z liczną drużyną, co Czerneboha za władcę uznają. I w końcu Marzanna, śmierci bogini, wesoła, czarownie uśmiechnięta, czarnym welonem otulona. a za nią Wielena, dusz zmarłych bogini.

— Ot, rozbawiły się duchy — mruknął Tetmar — Tańców się im zachciewa... Czy gody weselne chcą sprawić Hekli?

Wtem Pogwizd, bóg wichrów zjawił się w dali, falami wiatrów poprzedzony. Rzuciły się ku niemu boginie, otoczyły go zewsząd duchy. Lelum, Polelum, odłożyli na bok piszczałki, Pogwizd bowiem wracał z daleka i pełno miał zawsze nowinek.

— Więc cóż? Cóż tam nowego?! — pytano dokoła.

Swisnął przeraźliwie Pogwizd, tak, że o mało łódka z Tetmarem się nie przewróciła.

— Wszędzie jak zwykle, głupi są ludzie — gwizdnął bóg wichrów — nic się na świecie nowego nie dzieje. Silny wciąż gniecie słabszego — i ludzie mocnemu się tylko kłaniają.

— A co tam słychać u bogów — spytała ciekawa Nocena.

— Diana śmiertelnie zakochana w Endymionie, w ubogim pasterzu: W nocy schodzi na ziemię i idzie do niego do chaty. — Junona spłodziła znów syna: Wulkanem go nazwano. Tak brzydki strasznie, że Jowisz w gniewie strącił go na ziemię.

— Pewnie złamał nogę! zawołał z głupim uśmiechem Polelum...

— Nogę... jak echo powtórzył za nim Lelum.

— A tak, okulał — jest teraz królem Cyklopów.

— Cóż więcej — cóż więcej? pytały duchy ciekawie.

— Minerwa pokłóciła się z wujem swoim Neptunem. Mnemozyna wydała na świat dziewięć córek. Nazwała ich muzami...

— Dziewięć! zawołała Dziewanna — biedaczki! Cóż one ze sobą poczną — miejsca już dla nich w niebie nie będzie!

— Po ziemi zatem tułać się będą!

— Po ziemi! Zmarnieją...

— A co się dzieje w niebiosach północy?

— Walkirjom zabrakło już hydromelu!

— Biedni ludziska!... Nie będzie już odtąd bohaterów!

— Czy nic więcej nie powiesz Pogwiździe nowego? Zatem do tanów!

Wtem krzyk rozpaczliwy rozległ się w dali. Duchy spojrzały przed siebie. Ragasna pierwsza pobiegła — a za nią wszyscy, gnani Pogwizdem, i wnet otoczyli chatę Marchradową. Z tamtąd się bowiem ten krzyk rozlegał.

Na progu siedział skulony Poroniec, bożek płodu, z czterema twarzami a piątą w piersi zanurzoną. Na widok duchów, wstał i rzekł krótko:

— Nowa stworzyła się para.

Roześmiali się wszyscy szyderczo — jedna Dziewanna twarz zakryła złotawym obłoczkiem. Reszta za ręce się wzięła, rojem chatę otoczyła i pląsać poczęła wesoło. Lelum i Polelum na swych fletach przeraźliwie do tańca grali.

Pogwizd głową potrząsnął — gałęzie przyległego boru z łoskotem się złamały — potem nad jezioro wrócił, dmuchnął na łódkę, przewrócił ją, zaśmiał się wichrem i znikł w chmurach.

Tetmar dopłynął do brzegu i pobiegł do chaty.

Pierwsza dostrzegła go Marzanna — śmierci bogini... Spojrzała na niego przeciągle — aż zbladł pod kirem tego widma młodzieniec.

Tańce ustały — duchy patrzały na niego z ciekawością.

I rzekła do niego Marzanna:

— Tetmarze, żeś tany nasze dopatrzył, żeś bogów i wszystkie zoczył boginie — zaśniesz na wieki...

Tetmar spojrzał smutnie do koła — lecz odpowiedział spokojnie:

— Niech zasnę! Pilwit, bóg skarbów. nie łaskaw na mnie, dobytku żadnego mi nie dał — a bez dobytku, źle ludziom na świecie... Niechaj więc zginę, gdy życie na ziemi tak gorzkie... lecz pierwej pozwólcie, niechaj raz jeszcze Heklę choć ujrzę!

Marzanna znikła. Po chwili drzwi chaty z łoskotem się otworzyły — i ukazała się na progu, blada z przerażenia, trzęsąca się z zimna Hekla: Owiana już była Marzanną...

Czysta Dziewanna wzięła ją za rękę i rzekła:

— Iżeście pierwsi pojęli głębią czystego uczucia — iżeście pierwsi przeczuli co miłość znaczy, — bądźcie złączeni!

Marzanna dodała:

— Na wieki! oni już w moich objęciach i zasnąć muszą na zawsze.

Zwracając się do Tetmara, mówiła dalej:

— Tyś się Tetmarze za wcześnie urodził, więc w ciemność zejść musisz. Gdy z Retry śladu nie będzie, gdy Piana inną już nazwę przybierze, wówczas Budyntala ze snu cię obudzi, wówczas Tetmarze inni będą ludziska na świecie —

a ty im prawdę i miłość głosić będziesz. A teraz, do jezior, do głębi !!

I owionęła ich sobą, uniosła w powietrze -- nad tonie — aż znikli...

Wkrótce już tylko Pogwizd szalał i huczał po łanach i nad jeziorem. Zjawiska bez śladu gdzieś znikły. Jedynie łódka kołysała się pusta, na falach, — a nad nią szuwary kiściami swemi wciąż biły pokłony...

* * *

Dziś Retra znikła — a Piana inną ma nazwę...
Może się Tetmar już zbudził...

CZARDASZ.

Zwolna płynie w dal — Maroszu toń.
Luba! do mnie chodź! — mnie podaj dłoń.
Przyjść nie mogę — ach! — innemu dają mnie
I w jesieni już — wesele me!

Ludowa pieśń węgierska.

I. LARGO.

Słońca blask zapada — drzy jutrzenka blada;
Smutek myśli mota — snuje sny — tęsknota...

Puszta w mroku tonie. — Zwracam wzrok ku stronie,
Gdzie z gospody, w ciszy — czardasz skargą dyszy,
W dal — namiętnie — łka.

Przez wieczorne cienie — jakby gwiazd promienie,
Widzę wciąż — twe oczy. Żal mnie ściga — tłoczy...

Patrzą jasno, bacznie — śmieją się nieznacznie,
Pocóż mówią z siłą, — że je kochać miło?
Próżną — wróżba ta!...

II. ANDANTE.

Puszt muzyka — tęskna, dzika,
Jak ogromny
Wichru gwar,

Szumi szałem, wre zapałem,
Pragnień, marzeń
Niesie żar.

Nagle — zrywa — snów ogniwa:
Dumnie szydzi
Z próżnych mar.

Hej! gra dzika
Puszt muzyka!!

III. ALLEGRO.

Sny, marzenia — w niwecz zmienia
Zawsze świat! —
Jak sądzono — będzie żoną! —
Szkoda lat!
Przyszły czeka! — Więc z daleka,
W puszty mgle, —
Pannie młodej — me życzenia ślę!..

Sny, marzenia — często zmienia
Zrywa — mąż!
Pocóż nuta — raz wysnuta
Dźwięczy wciąż?!
Niechaj skarga — mną nie targa,
Ani żal!
Precz tęsknoto — w mroczną puszty dal!

A. A.

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Ciąg dalszy.

Pismo to jest tej treści:

„Nie mogę dość podziwiać pańskiego sprytu, którego pan dajesz tyle dowodów, ażeby króla polskiego nakłonić do pokoju i układów. O ile więc mam powodów być z pańskiego działania zadowolonym, o tyle jestem zdziwiony, że pomimo pańskiej niezmordowanej pilności, umiarkowania i szczęścia, niezdołałeś pan pokonać nienawistnych dla mnie zapatrywań drezdeńskiego dworu.

Przyznaję, że było to bardzo trudne do przewidzenia, iż dwór, który sądził się być zmuszonym opuścić swą rezy

dencję, będzie mi stawiał twarde warunki i to właśnie w czasie, gdzie go się otwarcie o jego przyjaźń i pokój prosi. Nareszcie niech sobie król polski czyni co zechce. Ja z mojej strony postępuję na mocy praw wojennych i powtarzam panu raz jeszcze to samo, co pisałem w moim pierwszym liście, mianowicie: że w dniu, w którym król polski układ podpisze, ustaną wszelkie kroki nieprzyjacielskie.

Gdyby orężowi mych nieprzyjaciół było się poszczęściło, to nie wiem, czy byliby się zadowolili wynagrodzeniem wojennem zniszczonych ogniem i mieczem okolic, lecz byliby mnie zmusili do ofiarowania całych prowincji. Musisz pan przeto przyznać, że moje postępowanie jest bardziej ludzkie, a także i to, że gdy mi szczęście sprzyjało, tak żem mógł zniweczyć nieprzyjaźne zamiary dworów wiedeńskiego i drezdeńskiego, mogę skorzystać z praw, obowiązujących na wojnie w całej Europie. Jeżeli jest prawdą, że król polski chce uniknąć straty i zagłady swego dziedzicznego kraju, to uważam za najpewniejszy do tego środek, iżby przyjął pokój, który ja temu księciu z wszelką szczerością ofiarowuję. Każdy bowiem przyzna, że i bez wszelkich kroków nieprzyjacielskich i bez nieprzyjaźni, ośmdziesiąt tysięcy ludzi w takim kraju jak Saksonja, może go na długo doszczętnie spustoszyć.

Ja nie jestem winien temu wszystkiemu, co z tego wyniknie i powołuję na świadków niebiosa i całą Europę, że jeżeli król polski trwać będzie w swej nienawiści, nikt mi za złe nie weźmie, jeżeli z mej strony dopuszczę się ostateczności. Staraj się pan, mój panie, z czystej miłości ludzkiej nie dopuścić, ażeby się dwa sąsiednie domy zniszczyć miały. Bądź pan narzędziem mych zamysłów, tak jak jesteś pan zastępcą mych interesów i ratuj pan Saksonję od tego nieszczęścia i od ostatecznego upadku, jakim jest zagrożoną".

Aneksja Saksonji do królestwa pruskiego nie leżała w intencji przebiegłego Fryderyka, i nie dlatego, iżby miał pogardzić pięknym bądź co bądź krajem, i z pewnością nie dla miłości i szacunku dla dynastji saskiej lub osoby Augusta, ale pewniej dla tej przyczyny, że przez zabór byłby podniósł przeciw sobie uległych sobie dotąd książąt Rzeszy niemieckiej, dla których nagły wzrost Prus nie mógł być przecież obojętnym. Jakkolwiek więc nic prawie zaborowi na przeszkodzie nie stało po zalaniu ośmdziesięciotysięczną armją całego kraju i zajęciu Drezna samego, jako stolicy, układa się w dalszym ciągu za pośrednictwem oddanego sobie zupełnie ministra angielskiego pana de Villiers. W tydzień mianowicie po ostatnim liście, któryśmy powyżej przytoczyli, już po zajęciu Drezna, w dniu 18 grudnia 1745, wychodzi z tego miasta do pana de Villiers znowu list następujący:

„Mocno mnie zdziwiło, gdy właśnie w dniu bitwy otrzymałem projekt pokoju, a przez ponowne pojawienie się księcia lotaryńskiego w Saksonji, jestem o nieszczerości ministrów saskich aż nadto przekonany. Szczęście które mi sprzyja, stawia mnie w położeniu postąpienia tak samo i zemszczenia się. Daleki jestem jednakże od takich myśli i to do tego stopnia, że raz jeszcze i to ostatni raz, ofiaruję królowi polskiemu moją przyjaźń. Powodzenie mego oręża nie zaślepia mnie i choć mógłbym być z niego dumny, jestem raz jeszcze zdecydowany przełożyć pokój nad wojnę. Oczekuję że panowie Bülow i Rex (ministrowie sascy) otrzymają swe pełnomocnictwa, aby hrabia von Podevils, który tu stanie dziś jeszcze wieczorem lub jutro rano, mógł z nimi natychmiast wejść w rokowania.

Równocześnie jednak nie mogę ukryć mego zdziwienia, że *angielski* minister może mi radzić odstąpienie od traktatu, który ja zawarłem z królem, jego panem a który Wielka Brytanja zagwarantowała.

Zobaczylibyście raczej mnie i moją armię zniweczonymi, niżbym miał dożyć odstąpienia od tego traktatu choćby w najmniejszym punkcie. Jeżeli więc królowa węgierska chce zawrzeć pokój, to jestem gotów go podpisać po myśli konwencji hanowerskiej; jeżeli go zaś odrzuca zupełnie, to jestem uprawniony do postawienia żądań swoich do niej jeszcze wyżej.

Proszę mi więc donieść o ostatecznem postanowieniu króla polskiego, ażebym wiedział, czy chce on zupełnej straty swego kraju, czy też utrzymania go i przyjaźni zamiast nienawiści; jednem słowem, czy chce jeszcze dalej rozdmuchiwać nieszczęsne zarzewie tej wojny, czy też przywrócić spokój ze sąsiadem i tem samem do uspokojenia Niemiec dopomódz".

Z powyższego listu okazuje się, że powolny dotąd Fryderykowi de Villiers, wypadł chwilowo z łaski chytrego monarchy pruskiego. Czytelnicy przypomną sobie bowiem, z jakiemi pochlebstwami występywał Fryderyk w listach swych do Villiersa, gdy mu szło o nawiązanie układów z Augustem. Po zajęciu Drezna zmienił się ton króla pruskiego i forma listu brzmi raczej rozkazująco niż prosząco, a nawet niedwuznacznym jest ustęp, w którym wprost pomawia ministra angielskiego o działanie poza plecyma króla Wielkiej Brytanji.

Ostatecznie w dniu 25. grudnia stanął pokój w Dreźnie, mocą którego król pruski uznał cesarzem Wielkiego Księcia Toscany, o czem w dniu 1. stycznia 1746 zawiadamia swych posłów przy dworach zagranicznych.

Po dziesięcioletniej przerwie znajdujemy się znowu u wrót wojny Fryderyka z Augustem. W tym czasie, mianowicie w r. 1756, zawarła Austrja sojusz zaczepno-odporny z Rosją przeciw Prusom. O tym związku, jak również o zbrojeniach obu mocarstw, zawiadamia on swego posła w Ratyzbonie listem z daty 31. sierpnia tegoż roku. Pragnąc uprzedzić zamiary sprzymierzonych, postanawia pierwszy wkroczyć do Czech; ażeby to jednak mogło mieć miejsce, uważa za nieodzowny przemarsz przez Saksonję. W tym wypadku nie używa już król pruski żadnego pośrednictwa, lecz odnosi się wprost do Augusta i w liście do niego, pierwszym bezpośrednio w całej swej korespondencji skarży się na Austrję temi słowy:

„*Pretsch* 1. września 1756. Skłonność jaką miałem do pokoju, tak jest znaną, że wszystko, co mogę o tem Jego Królewskiej Mości powiedzieć, nie wzmocni tego bardziej, jak podpisana przezemnie wspólnie z królem angielskim konwencja neutralności. Od tego czasu sądził dwór wiedeński, że zmiany systemu wytworzą przyjazną sytuację do wystąpienia przeciw mnie. Chwyciłem się drogi układów, którą uważałem za najlepszą, ażeby usunąć niektóre nieporozumienia, spowodowane przez dwór wiedeński. Pierwsza odpowiedź, jaką otrzymałem od dworu wiedeńskiego, tak jest ciemną i zagadkową, że żaden książę, który dba o swe bezpieczeństwo nie byłby z niej zadowolonym. Druga była zredagowaną z takim zasobem pychy i pogardy, że każdy książę niepodległy, któremu cześć jego leży na sercu, musiałby się nią obrazić; i jakkolwiek szło mi tylko o zapewnienie, którego żądałem od cesarzowej i królowej, iż ani w tym roku ani w przyszłych latach przeciw mnie nie wystąpi, to jednak nie uznano mnie godnym na to odpowiedzi. Postępowanie to zniewoliło mnie do tego, że chwyciłem się innych dróg, aby zamiary moich wrogów uprzedzić. Mimo tego, tak z zamiłowania pokoju jak i z uczuć ludzkich, rozkazałem raz jeszcze memu posłowi w Wiedniu uczynić w tej sprawie przedstawienie, ażeby załatwić spór na drodze pokojowej".

W dalszym ciągu zapewnia król pruski Augusta o swej przyjaźni i poszanowaniu w przemarszu wojsk tak osobistych dóbr elektora, jak i mienia jego poddanych. (C. d. n.)

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Połóż pan to tymczasem do „chaosu“! — zawołał nie patrząc na woźnego.

„Chaos“ była to przegroda, tnż przy ziemi, znajdująca się pod specjalnym nadzorem Mortensena.

Anders Mo wziął pakiet i odwrócił go tak, że dokumenty w żółtej okładce dostały się na sam spód; wepchnął nawet żółty grzbiet, tak że nie można ich było nawet zobaczyć; następnie wrzucił wszystko do „chaosu“, gdzie już od dawna leżało wiele innych rzeczy.

Anders Mo, który skrócił swe nazwisko Vatnemo, poznał się z ministrem Bennechenem jeszcze wówczas, gdy ten był asesorem.

Mo miał wtedy sklep tandeciarski właśnie obok mieszkania asesora Bennechena, a poczynając od drobnych usług, które wyświadczał jego rodzinie, powoli stanął we względach tak wysoko, że w końcu stał się dla Bennechena tak niezbędnym jak i dla jego żony.

Gdy asesor stał się ministrem, wziął Andersa do siebie, i zrobił z niego woźnego ministerjalnego. To stanowisko było niemal jakby stworzone dla niego. Łaził dokoła jak kot, od najwyższych piąter aż do piwnic, i nie trwało długo, a zaznajomił się z każdym kątem i miał w swych rękach wszystkie tajemnice i intrygi ministerstwa. Wpływ, jaki wywierał na samego ministra, był poprostu niepojętym, a u wszystkich było jedno przekonanie, że był on najpotężniejszym człowiekiem w ministerstwie.

Anders Mo mieszkał w mieszkaniu portjera w wielkim pałacu ministra; Bennechen bowiem przez żonę doszedł do majątku. Było to niemal mieszkanie suterenowe; jeżeli się jednak zeszło tych kilka stopni, to znajdowało się pokoje ciepłe i wygodne, a przez okna umieszczone wysoko w ścianie wpadało pełne światło dzienne.

Od czasu, gdy Krystyna przybyła do domu, urządzono dla niej pokój środkowy jako sypialny. W ten sposób stało się, iż wuj Anders zawsze musiał przechodzić przez jej pokój aby się dostać do swego. Nie było to coprawda przyjemnem, ale też nie uważano tego za rzecz tak bardzo złą. Wuj Anders był tak uprzejmym dla niej, a wielkie, piękne miasto posiadało dla niej tyle niespodzianek, że tęsknotę za domem opanowała szczęśliwie.

Równocześnie była zadowolona z tego, że znajduje się wśród obcych, którzy nie wiedzą nic o hańbie, jaką ściągnął jej ojciec na siebie i na nią.

Tacy eleganccy ludzie jak ministrowie pozdrawiali ją, gdy spotykała ich w bramie. Panna Hilda nawet stanęła kilka razy i wszczęła z nią rozmowę.

Że taka elegancka dama rozmawia wogóle z nią, prostą wiejską dziewczyną, wydawało się Krystynie już czemś więcej, niż się spodziewała i spodziewać mogła. Uprzejmości kandydata nie umiała jednak godnie ocenić. Przedewszystkiem była pewną, że Alfred znał hańbę jej ojca; prócz tego poufny ton, w którym przemawiał młodzieniec, napawał ją jakimś lękiem, zwłaszcza wtedy, gdy przy niej stanął w bramie albo też zeszedł na dół do pokoju.

Doktor, najstarszy syn ministra, podobał się jej daleko więcej, ale z tym rozmawiała dopiero dwa razy.

Gdy Krystyna już parę tygodni bawiła w domu, otrzymała następujący, w stylu mocno zawiły list z domu:

„Kochana Krystyno! Kot miauczy żałośnie, od czasu gdy cię niema, i ojciec także, ale czyni to w inny sposób, który polega na nieskończonem kopaniu rowu, przekleństwach, i tupaniach, tak, że już niebezpiecznem jest dla życia przejeżdżać obok jego pola wskutek kamieni, torfu i gnoju, który ciągle lata w powietrzu, jak również i droga, która już sama przez się jest krzyżem Pańskim dla ludzi i bydła, a to dlatego, że ten kawałek drogi posiada właściciela, którego znaleźć nie można, ale sołtys odesłał mnie do poborcy podatkowego, a poborca odesłał mnie do budowniczego dróg, który jest kapitanem, tak że sobie możesz pomyśleć, co to pomoże. Ale powodzi mu się lepiej, niż się mogłem spodziewać, a mianowicie twemu ojcu. Być tak samym to smutnie, ale sprzedał co było dobrem, gdyż taki był nieporządek w stajni i w oborze i w spiżarni jak w Sodomie i Gomorze przez to, ale twoja czarna krowa i ta, którą kupił od dzierżawcy proboszcza, przyszły już do siebie i dają dużo mleka, gdyż daje im za wiele mojem zdaniem, którego nie chce słuchać, ale się wścieka. Mieliśmy tu orkan, a deszcz i burza stoją nad morzem, jak to też czytałem w gazetach, że gwałtowny cyklon przeszedł przez morze Atlantyckie i przez kanał, a wielki okręt z Chrystjanji, który szedł z Londynu, czy też z Nowego Jorku, stracił wszystkie żagle maszty i liny, o czem musisz się dowiedzieć i napisać mi dokładnie. Twój ojciec cię pozdrawia i podpisany także z wysokiem poważaniem

Laurenty Boldeman Seehus“.

VI.

W jesieni, gdy powracano z mieszkań letnich do miasta, wydawali Falck-Olsenowie wielki bal.

Falck-Olsen sam przywiązywał wielką wagę do tej zabawy, na którą prócz młodych ludzi, którzy „mieli poświęcić swe siły jedzeniu“, zaprosił także kilku dostojników stolicy.

Skoro zapraszał wszystkich tych młodych ludzi, to sądził, że zaproszenia może cokolwiek więcej rozszerzyć, zwłaszcza ku górze, niż to mógł czynić przy wieczorkach lub obiadach. Miejsca było także dosyć.

Falck-Olsen był jednak jeszcze człowiekiem nowym w stolicy; a ponieważ ze skromnych początków dochrapał się „składu drzewa budulcowego i materjałów drzewnych“ i dość znacznego majątku, przeto dążył teraz wszystkiemi siłami do tego, aby go przyjęto do wielkiego towarzystwa.

Pod tym względem liczył na ministra Bennechena. Znajomość datowała się jeszcze z czasów, gdy dzisiejszy minister był asesorem i z latami zdawała się stawać coraz serdeczniejszą. Panie w mieście dziwiły się trochę temu, gdyż Bennechenowie byli drażliwymi na tym punkcie. Panowie jednak oświadczali, że pochodzi to z powodu stosunków handlowych; Falck-Olsen umieścił pieniądze ministra, a niektórzy myśleli w cichości, że czasami pomagał mu jakąś

drobną zaliczką w gotówce. W ogóle śmiano się z próżności Falck-Olsena; albowiem dobił się majątku własną pracą, przeto w oczach większości bogactwo jego było czemś pospolitem, a przepych, jaki roztaczał, uważano za coś niestosownego.

Jerzy Delphin zwykł był mówić:

— To takie nieprzyjemne u niego, że, gdy się jest w najlepszej wierze, iż się rozmawia z finansistą panem Falckiem, nagle człowiek spostrzega, że ma przed sobą tylko handlarza drzewem Olsena.

Pani Falck-Olsen nie podzielała upodobań swego męża do wielkich towarzystw; wolała małe damskie kółeczka przy herbacie. Jej pochodzenie było nieznane, i jak się wyrażał szambelan, jej drzewo genealogiczne było pierwszem, które ściął Falck-Olsen, gdy począł iść w górę,

Tymczasem cierpliwie i pojętnie postępowała za mężem, tak że teraz wypełniała miejsce w eleganckim domu nie rażąc zbytnio.

Wprawdzie Jerzy Delphin nazywał ją w cichości jeszcze ciągle „mam Olsen“, i było to jednym z jego najświetniejszych numerów opowiadać o „zabawach tańcujących w sali Olsenów“, ci jednak, którzy znali tę kobietę, godzili się na to, że jej dobre, gorące serce wynagradzało te braki, które nie licowały z dobrym tonem.

Prócz tego była to kobieta przystojna i wyglądała bardzo dobrze, gdy w swej jasno popielatej morowej sukni przechodziła przez sale i to lub owo jeszcze zarządzała, zanim się goście schodzić zaczęli.

Falck-Olsen wyszedł także i przechadzał sie po salonach; był jednak zawsze niespokojny i nerwowy, wymyślał służbie i spoglądał co chwila na zegarek.

— Co się dzisiaj z tobą dzieje, mężu? — zapytała pani Falck-Olsen. — Jesteś tak rozdrażniony, jakbyś oczekiwał wizyty króla.

— Pleciesz, stara! Troszcz się o siebie — odpowiedział pan domu.

Wkrótce potem jednak przystąpił do niej i rzekł, tonem, który miał być na pół rozważny, a na pół obojętny:

— Zaprosiłem dziś przedpołudniem konsula Linda.

— Czyś ty zwarjował? — zapytała żona.

— No, no! Czyż nie znaczę tyle, co konsul Lind?... Prócz tego stało się to tak naturalnie; spotkaliśmy się w banku...

— Zaprosiłeś także jego panie?

— Nie — odparł Falck-Olsen niepewnym głosem.

— Wobec tego możesz być chyba przekonany, że on nie przyjdzie. Było to strasznie niezręcznie z twej strony, stary Janie!

— Hm! — mruknął stary Jan, który z czasem przekonał się, że jego żona miewa zawsze w takich razach słuszność.

Tymczasem do salonu weszła najstarsza córka Falck-Olsenów. Ojciec zaczął kląć na czem świat stoi, a matka zawołała:

— Nie, moja jedyna Ludwiko, jak też ty wyglądasz!

Oboje spojrzeli na córkę zdumieni.

Panna Ludwika miała na sobie czarną, pod szyję zapiętą suknię; włosy splecione były nisko nad karkiem w jeden zwykły, mały węzeł; wielkie, niezdarne wełniane czarne rękawiczki uzupełniały toaletę.

Z początku próbowała patrzyć pewnym wzrokiem na rodziców; nagle jednak wybuchnęła płaczem i zawyła:

— To Hans... to Hans powiedział... powiedział że nie mam... powiedział, że nie mam się inaczej ubierać!...

— Hans! — zawołał Falck-Olsen — teraz mi już za wiele tego Hansa! Jeżeli wkrótce nie przestanie tak cię dręczyć, to na moją duszę, dam mu dymisję i nic o nim wiedzieć nie chcę!

— Cicho, cicho, stary Janie, tylko się nie unoś. Pozwól, niech ja pomówię z Ludwiką. Słyszę już kogoś w przedpokoju.

Falck-Olsen przeszedł szybko przez salony, aby przyjmować pierwszych gości, a jego żona poszła z Ludwiką na górę, aby ją przecież jako tako ubrać.

Było to kilku młodych, długonogich panów, którzy przyszli najpierwsi; niezadowoleni z tego, chodzili ustawicznie jeden za drugim, aż nareszcie utknęli w kącie ostatniego salonu i zaczęli się śmiać po błazeńsku albo sami z siebie, albo też z niczego.

Tymczasem zaczęły zajeżdżać powozy i goście zaczęli się zbierać. Gospodarz przyjmował ich w pierwszym pokoju. Pani Falck-Olsen zajęła miejsce w małym pokoju przed salonem damskim. Młodsza córka Zofja i garderobiana zajęły się Ludwiką i po chwili weszły obydwie siostry razem.

Panna Zofja była przystojną dziewczyną i ulubienicą ojca. Jego planem było, wydać córkę za mąż w najwyższych kołach, to też nieustannie proponował jej partje. Zofja przyjmowała to na pół żartobliwie; gdy jednakowoż pewnego dnia zaproponował jej szambelana Delphina, zadumała się i chciała się nad tem zastanowić. Tego wieczoru miała na sobie białą suknię z jedwabnym staniczkiem i wielu małemi, jedwabnemi wstążkami; była czarującą, gdy z uśmiechem szeptała matce do ucha, jaki kłopot miała z Ludwiką.

Ludwika wyglądała jak jagnię ofiarne. Miała teraz na sobie białą suknię i porządne rękawiczki, a służąca skorzystała jeszcze z ostatniej chwili, aby jej wpiąć we włosy gałązkę konwalji. Trwożliwie oglądała się po wszystkich kątach, czy gdzie nie zobaczy Hansa; ponieważ jednak nie mogła go nigdzie odkryć, przyjęła najpierw jedno zaproszenie do tańca, a potem więcej, co jej również było zakazanem. I w rezultacie stanęła, zanim sama to spostrzedz mogła, w grupie przyjaciółek, rozmawiając i śmiejąc się; a gdy jednemu z panów podała karnecik, zdziwiła się wielce, że oddał go jej z niepocieszoną miną: był zapełniony.

Jej najlepsza przyjaciółka, Karolina Hjelm, zapewniała ją, że nigdy w życiu nie wyglądała tak zachwycająco; mimo to jednak Ludwika robiła sobie straszne wyrzuty sumienia.

Pokoje zaczęły się napełniać; w wielkiej sali stały młode panny i udawały, że bardzo gorliwie z sobą rozmawiają. W rzeczywistości jednak ta rozmowa polegała przeważnie na wykrzyknikach i pytaniach krzyżujących się ustawicznie, na które nie odpowiadano wcale, przerywana była zaś krótkim nerwowym śmiechem, a każda z pań tymczasem przejęta była ważnością chwili: widzieć zapełniony karnecik.

Panowie cisnęli się we drzwiach i zapędzali się, przebiegali z zakłopotanemi minami przez pokoje, kłaniali się, zapraszali, zaplątywali się w długie treny i gubili ołówki.

Obydwaj przyjaciele referendarze, Hierth i Bennechen, którzy obydwaj nadskakiwali pannie Falck-Olsen, spotkali się przy niej. Miała tylko jeden wolny taniec i ten przyrzekła Bennechenowi. Hierth zrobił minę, mającą wyrażać rozpacz, i zaangażował Hildę Bennechen, która stała obok.

Ta miała jeszcze wiele tańców do rozporządzenia. Pomimo, iż jako córka ministra nie była narażona na pietruszkowanie, to jednak wszyscy zwracali się do niej dopiero na ostatku, a nikt nie starał się nawet ukryć tego, że był to taniec z obowiązku.

Szambelan Delphin, którego Falck,Olsen wciągnął do swego koła przez Bennechenów, tańczył bardzo rzadko. Był za stary — tak mawiał sam; tylko raz tańczył z paniami z czasów swej młodości. Gdy jednakowoż spostrzegł, z jaką kwaśną miną odwrócił się referendarz Hierth, zaprosiwszy do tańca Hildę Bennechen, przeszedł nagle przez salon; skłonił się przed nią i poprosił o taniec.

Zarumieniła się i spojrzała na niego podejrzliwie; był przecież złośliwy i umiał szydzić z ludzi. Tymczasem wziął już karnecik i poprosił o polkę po kolacji; nie mogła mu odmówić, chociaż miała do tego ogromną ochotę.

To zwróciło uwagę w sali. Panie skupiły się i zaczęły chichotać. Hilda Bennechen czuła się bardzo nieszczęśliwą, a w swem zakłopotaniu była brzydszą niż kiedykolwiek. Uciekła się do Ludwiki, która w napadzie rozpaczy skarzyła się Karolinie Hjelm.

Kilku panów, którzy również zauważyli, że szambelan zaprosił Hildę Bennechen do tańca, uważało to za wściekle delikatny żart; dlatego pośpieszyli się, aby uczynić to samo. Wbrew zwyczajowi Hilda w jednej chwili miała zapełniony karnecik i to przeważnie przez eleganckich kawalerów.

Bal otworzono polonezem, prowadzonym przez gospodarza i ministrową Bennechen — ministra jeszcze nie było.

— Daniel jest w tych czasach tak przeciążony pracą — uniewinniała go żona.

I konsula Linda jeszcze nie było, tak że Falck-Olsen nie był bardzo zadowolony. Nabrał humoru jednak trochę podczas poloneza, gdyż wyglądał taniec ten świetnie.

Szambelan mógł sobie mówić co chciał o „salonie Olsenów“, ale lepszego miejsca do tańca nie było chyba w całem mieście. I gdy poruszał się długi szereg wystrojonych pań i panów w sali przy dźwiękach doskonałej orkiestry, oczy Falck-Olsena świeciły się z zadowolonej dumy.

Było tam widać mnóstwo uniformów i orderów, kupcy, bankierzy, profesorowie, szambelani, konsulowie obcy — zbytek wielkich, ładnie brzmiących tytułów, w których gospodarz formalnie się nurzał; przechadzał się i rozmawiał z ministrową.

— Jak ładnie wygląda dzisiaj pańska córka — rzekła, aby się okazać uprzejmą.

— Cieszy mnie, że pani to znajduje; i mnie się tak wydaje, aby powiedzieć prawdę; Zofja posiada w sobie coś dystyngowanego.

— Właśnie to chciałam powiedzieć — odparła pani Bennechen, podczas gdy w duchu wyśmiała się z niego.

Teraz jednak na nieszczęście chciał Falck-Olsen odpowiedzieć komplementem na komplement i z zachwytem mówił o Hildzie Bennechen, która właśnie z jakimś starszym, niższym nauczycielem, czy też z kimś podobnym przyłączyła się do poloneza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

W. Sirko-Sieroszewski, wysoce utalentowany nowelista, autor bardzo poczytnego utworu pt. „Na kresach lasów“, otrzymał zapomogę od Tow. geograficznego w Petersburgu na podróż naukową na wyspy Antylskie, w celu studjów ludoznawczych.

Ciekawe studjum literackie pt. „Przyczynek do genezy „Powrotu taty“, ballady A. Mickiewicza, zamieścił p. Stanisław Zdziorski w ostatnim zeszycie „Przeglądu lit.“

W monachijskiej „Jugend“ znajdujemy przekład noweli Z. Niedźwiedzkiego pt. „Matka“ (Die Mutter).

Konkurs kijowski na utwory muzyczne do słów Mickiewiczowskich, ogłoszony przez księgarnię Idzikowskiego, został odroczony.

Józef Hoffmann bawił w ubiegłym tygodniu czasowo w Warszawie; 14. bm. udaje się znakomity pianista w dłuższą podróż do Ameryki, gdzie mu Tow. orkiestrowe Thomasa zapewniło „przyzwoite“ honorarjum bo 95.000 marek za 30 koncertów, prócz pokrycia kosztów podróży i utrzymania.

A. Ungherini, znany pisarz włoski, wydał obecnie szereg utworów A. Mickiewicza w dobrym przekładzie, poprzedziwszy je trafną charakterystyką twórczości naszego wieszcza. Między innemi ukazały się: „Dziady“, „Konrad“, „Farys“, „Reduta“ i t. d.

„Osweta“ czeska podała wyczerpujący życiorys K. Ujejskiego.

W „Wiadomościach Uniw. kijowskiego“ zamieścił stypendysta p. Gloecke ciekawe studjum: „O Janie Kochanowskim i jego znaczeniu w historji kultury w Polsce“.

Księgarnia Grendyszyńskiego w Petersburgu wydaje nową powieść A. Krechowieckiego pt. „Ostatni dynasta“, osnutą na tle XVI. wieku.

Prof. Gasztowt w Paryżu przystąpił do przekładu „Pana Tadeusza“ na język francuski.

„Česka revue“ zamieściła ciekawy artykuł p. Penižka pt. „Dwa lata rządów K. hr. Badeniego“.

W „Daliborze“ czeskim znajdujemy pierwszy życiorys Stanisława Moniuszki.

W Wrocławiu zmarł znany wydawca muzyczny Hainauer.

P. Mira-Heller-Olszewska udaje się w podróż artystyczną po większych miastach Królewstwa polskiego i Rosji, w towarzystwie znanego wiolonczelisty prof. Wierzbiłowicza.

Libretto „Goplany“ tłómaczone jest obecnie w Warszawie na język niemiecki. P. Wł. Miller zamierza spopularyzować zagranicą „Pieśń Kirkora“.

„Gaz. Warszawska“ obchodzi w r. b. 125-letni jubileusz swego istnienia. Najstarsze to pismo warszawskie pozostawało zawsze w posiadaniu rodziny Lesznowskich.

Nowa opera. Kompozytor czeski Antoni Dworzak pisze nową operę na tle podań ludu czeskiego o djable. Natychmiast po wykończeniu wystawioną zostanie w Narodnem Divadle w Pradze.